

cała jesteś w morzu płatków czerwonych róż...



© 2006 Marcin Klęk

* * *

zabrała torebkę i wyszła

w bezbarwnym pociągu oddalała się
od tego
co tak mocno bolało

byle jak najdalej stąd
tablice miast ze świstem umykały

serce biło coraz szybciej
tłocząc krew w napiętych arteriach

ukojenia blask wypełnił przedział
obcy mężczyzna zapytał

zapali pani?

* * *

na wstędze nieskończoności unosimy
podszyte strachem zwyczajne słowa

w świetle porannego skowronka
wzrastają winorośla kruchej nadziei

zatrzaśnięci w koszmarze rzeczywistości
jak samotnie tańczące arlekiny

drżącym głosem niepewnie pytamy
czy coś może ocalić naszą miłość?

* * *

przy stoliku usiadła nadzieja
zamówiła kawę i ciastko
niepozornie rozgląda się dookoła
może spotkamy się
porozmawiamy o miłości
będziemy patrzeć na siebie
do pierwszego pocałunku

* * *

miłość jest w nas
ukryta między szeptami ciał
w nadłamanej gałązce bzu
kroplach deszczu
w krnąbrnym uśmiechu
twoich łzach
miłość jest w nas

* * *

liście samotności usychają
w zbliżeniu wielu prawd

próbuję harfą czasu
zatrzepotać skrzydłami
na smyczkach porannej rosy

otwieramy się na złudne idee
malujemy akwarelą
na szkle
kolorowe obrazki świata

w modnych prochowcach
przemierzamy wszechświat

* * *

na ostrzach niepewności
rozpinam swoją modlitwę

trwam w potrzasku bólu
ile dróg prowadzi do Ciebie?

pewnie wchodzę w głębie
nienasycenia

* * *

twoje usta wilgotne
brak wielu gestów
całe ciało woła
a mój ogień dłoni
delikatnie penetruje
osnute tajemnicą przestrzenie
szal namiętności zaciska
wokół twojej szyi
pragnienie wzlotu
w błękitne chmury

* * *

po gzymsie prawdy znów balansuję
wczoraj wszystko było takie realne

o poranku zastałem zamknięte drzwi
języki krzyku przerwała wstęga ciszy

twoje dłonie w moich płoną
taksówka czeka

walizki i parasol spakowane
ukradkiem spoglądasz na zegarek

wychodzisz
pozostawiając pustą kanapę

* * *

tu i teraz
w tym momencie
gwiazdy i cały kosmos
w całości wszechświata
ja i Ty naprzeciw siebie
stwórca i twórca
na linii rzeczywistości
słowo budulec istnienia
staję jak zwykle w pokorze
zbuntowany niezwykłym sensem
a zarazem cichy w zrozumieniu
wylewasz deszcz szarańczy na mój dom
nie pytam dlaczego?
to nie ja zerwałem owoc
z Twojego drzewa